

Jak oni grają

Z zasady nie oglądam programów telewizyjnych w rodzaju „Jak oni śpiewają”, tańczą czy też: „Mam talent”. Nie dlatego, że zakładam a priori ich beznadziejność czy amatorkę. Po prostu mnie nudzą.

W kwestii wspomnianej amatorki nie ma się co napinać ani kreować na znawcę. Przeważnie programy są zrealizowane porządnie i na tle swoich zagranicznych odpowiedników wypadają dobrze. Uczestnicy też są różni, zgodnie z zasadą: „dla każdego coś miłego”. Jeden lubi się pośmiać, drugi wzruszyć, trzeci po prostu posłuchać muzyki, bo ta jest traktowana w TV jak zło konieczne. Pozostaje już tylko w podobnych programach albo jako wstawka do telewizji śniadaniowych, do których zresztą muzycy walą jak w dym przy okazji promocji koncertu albo płyty. Okazuje się, że to ostatnie pasmo, w którym można się pokazać. Atmosferę dodatkowo podgrzewa rywalizacja i często wyreżyserowane potyczki jurorów, przeradzające się niekiedy w kłótnie.

Każdy z programów to tak zwany „format”, czyli wymyślone przez kogoś, dajmy na to: w Australii, scenariusz, regulamin, dramaturgia i scenografia. Oryginał jest powtarzany z jak największą dokładnością. Nawet skład jury musi być identyczny. Dosłownie. I to nie na zasadzie – „muzyk, aktor, hydraulik, dziennikarka”, ale: „chuda blondynka, kudłaty, krawaciarz i klientka sklepów z odzieżą indyjską”. Mają się też podobnie zachowywać, wypowiadać, prezentować identyczny rys charakterologiczny. Dla tropicieli korporacyjnej taśmy produkcyjnej to już wystarczająca dyskwalifikacja, ale znów uspokajam: nie szukajmy drugiego dna, skoro jest na wierzchu. Ważne, że taki program ma szansę kogoś pokazać, rozpocząć czyjąś karierę. Może w którymś zadebiutuje nowy Elvis Presley?

Nazwisko Króla padło nieprzypadkowo, bo choć sam był zjawiskiem, a nawet gatunkiem muzyki rozrywkowej, stał się także początkiem nowego, nieznanego

wcześniej trendu. Po jego śmierci pojawiły się tysiące facetów, którzy śpiewali jak on, ubierali się jak on, poruszali się jak on, wreszcie – mówili jak on. Nikogo to już nawet nie drażniło, a naśladowcy otrzymali status „artystów trybutowych” i byli traktowani poważnie.

Dobrzy świetnie zarabiali. Występowali w filmach i nagrywali „własne” płyty. Najlepsi mogli się nawet posługiwać własnym nazwiskiem, chociaż ich biografia, osobowość i twórczość tak naprawdę nikogo nie interesowała. Wszyscy chcieli Króla.

Delikatniejszą formą naśladownictwa jest śpiewanie coverów; obecnie bardzo popularne. Pół biedy, jeżeli wykonuje je Engelbert Humperdinck albo Frank Sinatra, bo sami są zjawiskami, ale „coverowanie” staje się coraz częściej sposobem na debiut, a nawet życie artysty. W świecie płyt, radia i muzyki, którą ktoś w ogóle chce piratować, to jednak margines. Za to w szkołach telewizyjnych – reguła.

Jest to zresztą zrozumiałe. Jeżeli możemy zaprezentować swój utwór albo cover, do wyboru, to lepiej wybrać ten drugi. Dajmy na to: jestem uczestnikiem i potrafię napisać piosenkę, być może niezłą. Jednak choćbym nie wiem jakie miał mniemanie o swoich umiejętnościach, to z koniem kopać się nie będę. Bo Elton John, Paul McCartney, Sting i Eminem zrobili to lepiej i znają ich miliony. Owszem, jury się raczej zna na rzeczy i doceni staranie, jednak zawsze wytknie, że utwór taki sobie. O publiczności nawet nie wspomnę, bo reakcje mówią same za siebie. Dlatego bardziej świadomi uczestnicy, ci z dystansem do własnej twórczości, wybiorą repertuar znany, lubiany, a przy okazji podkreślający ich atuty.

I tu dochodzimy do sedna. Tiwizzoły są nastawione na wykonawców, a sama

muzyka jest w nich drugorzędna. Miło usłyszeć, że dwóch facetów świetnie gra na gitarach albo dziewczyna, na dodatek ładna, śpiewa pięknie i efektownie porusza się na scenie. Warto jednak zadać pytanie: po co? Komu potrzebny kolejny Elvis Presley albo Edith Piaf? Można ich przecież oglądać i słuchać w oryginale, do którego „trybuci” się nie zbliżają. A nawet jeżeli wniosą coś od siebie, to i tak szkoda czasu, bo jest wszechświat innej muzyki. Autentycznej, wartościowej, wielkiej i życia nie wystarczy, by ją choćby liznąć.

I czy na pewno ludzie chcą słuchać coverów? Przyglądając się wspomnianym programom, można stwierdzić, że o niczym innym nie marzą. Dochodzi nawet do kuriozalnych sytuacji, kiedy znani i wypromowani artyści naśladują siebie nawzajem i „próbują sił” w gatunkach sobie obcych. Wychodzi to, jak wychodzi, a sama formuła to już, za przeproszeniem, cyrk z małpami. A te, wiadomo, małpują.

Winne są same formaty. Skoro w TV nie ma już pasma na kulturę i preferuje się odtwórczość, to może by stworzyć nowy? Dajmy na to: muzyczny. Każdy wykonawca ma obowiązek zaprezentować swój repertuar: kompozycje, teksty, aranżacje i pomysł na wizerunek. To warunek bezwzględny; naśladowcy, choćby najlepsi, odpadają. Jury ocenia utwór, interpretację i poziom umiejętności. Efekt: słyszymy nową piosenkę, zespół, a może nawet pojawi się nowy gatunek? Nigdy nie wiadomo, kto stanie w świetle reflektorów. Zdolni ludzie ciągle jeszcze się rodzą. Nie mają się gdzie pokazać, więc może od razu tam, gdzie mają funkcjonować – na scenie? Nagroda: nagranie płyty, koncert z transmisją w TV, trasa przy okazji jakiegoś festiwalu, promocja muzyki w Polskim Radiu i TVP. Jeżeli to robi telewizja prywatna, też jest sens, bo można zwycięzców związać kontraktem.

TVP ma w końcu misję i na nią pieniądze, a inne stacje szukają form na kolejne juble. Ryzyko jest, bo twórców mniej niż odtwórców, a i twórczość rozmaita. Może jednak się uda, a jak się format przyjmie, to da się sprzedać licencję i zarobić?

Tylko wtedy poproszę o działkę. Opis patentu jest tu, data pomysłu – na okładce.